

Antypody

28 kwietnia 2011



We wsi Znamienka na Syberii trudno było przedrzeć się do tajgi przez zwały śmieci. Kiedy dotarliśmy do wsi Ługawskoje, okazało się, że obory usytuowane są tak, aby łatwo było zrzucać gnój do Jeniseju. Rosjanie tłumaczyli, że dzikiej przyrody mają dużo i nie muszą troszczyć się o środowisko. W Australii dzikiej przyrody też jest dużo, ale parki narodowe spotyka się co krok, a śmieci nie ma wcale. Na przełęczy w jeżynach nasz towarzysz znalazł butelkę po ćwiartce wódki. Włożył ją do kieszeni, wniósł na szczyt i zniósł do podnóża góry, gdzie był śmietnik.

Wiadomo, że Australijczycy chodzą głową na dół, kangury kicają po trawiastym dachu parlamentu (już go ogrodzono), koale śpiące na eukaliptusach niedbale zwieszają łapki. Trzeba to jednak zobaczyć, ponieważ żaden album czy film nie odda przestrzeni, piękna i różnorodności egzotycznej przyrody. Dojechać nie jest łatwo. Podróż nawet przy dobrych połączeniach trwa przeszło dobę i kosztuje kilka tysięcy dolarów. Nie wiem, ile dokładnie, ponieważ wszystkie koszty naszego, ponad dwumiesięcznego pobytu, poniósł Związek Polskich Więźniów Politycznych. Gospodarze zorganizowali nam wiele spotkań publicznych z Polonią w Sydney, Melbourne,

Adelajdzie oraz Perth, wywiadów w polonijnej prasie i radiu. W Australii rozgłoszenie grup etnicznych są dofinansowane ze środków publicznych. Dwóch dziennikarzy z prasy anglojęzycznej prosiło o wywiad. Jeden pytał o neoliberalizm i globalizację, drugi o historię Lecha Wałęsy. Polacy w Australii są nadzwyczajnie dobrze zorientowani i zaangażowani w sprawy polskie. Spotkania nie różniły się od tych w Polsce. 10 kwietnia w Sydney i Melbourne odsłonięto tablice upamiętniające ofiary katastrofy.

W Australii wszyscy mają prawo do państwowej emerytury, rozwijany jest transport publiczny, wypłacane są zasiłki, funkcjonują programy adresowane do różnych grup społecznych, do młodzieży i seniorów. Ludzie pracują, niektórzy dużo i ciężko, jeśli chcą spłacić kredyty. Bezdomnych nie widzieliśmy. Wysztytowane w Polsce państwo opiekuńcze, w Australii ma się dobrze. Kryzys jest odczuwalny, ale gospodarka funkcjonuje, bezrobocie nie przekracza 6%, a dolar australijski stoi nie gorzej niż amerykański.

W porównaniu z USA, w Australii żyje się na luzie. Australijczycy są pogodni, życzliwi, lubią się bawić, podróżować, uprawiają sporty. Nawet skłonni do narzekania Polacy mówią, że żyje się tu dobrze. Marzeniem każdego Australijczyka jest wybranie się na emeryturze w podróż domem na kółkach po całym kontynencie. Podobno trzeba na to trzech lat.

Trzech lat nie mieliśmy, ale gospodarze zadbali, abyśmy w czasie wolnym zobaczyli jak najwięcej. Polacy dobrze się zapisali w historii Australii i dzisiaj też cieszą się dobrą opinią. Był projekt, aby nazwę najwyższego szczytu, Mount Kosciuszko, zmienić na aborygeńską. Taki ukłon w stronę poprawności politycznej. Od kilku lat Polacy organizują wielki festyn pod górą, połączony z biegiem na szczyt i z powrotem. Na zwycięzców czekają nagrody. Festyn cieszy się wielkim powodzeniem, w biegu uczestniczą nie tylko Polacy. O zmianie nazwy nikt już nie mówi.

Wbrew powszechnej opinii, Australia nie jest płaskim, pustynnym talerzem. Jest tu dużo pięknych gór, lasów, wodospadów i rzek. Sieć szlaków jest dobrze rozwinięta. Serce nam się kroilo, gdy na punktach widokowych czy w miejscach piknikowych patrzyliśmy na tabliczki kierujące na odległe pasma górskie i szczyty. Wiedzieliśmy, że nie przyjechaliśmy tu na wędrowkę z namiotem, ale Andrzej włożył swój stary plecak do podróźnej torby i wniósł go na najwyższy szczyt („Nigdy by mi nie darował, gdybym go nie zabrał”).

Trudno nawet wymienić, a tym bardziej opisać cuda, które widzieliśmy. Największe wrażenie zrobiły na mnie australijskie pingwiny, wracające po całym dniu połowów. Małe, dzielne ptaki wspinają się na stromy brzeg i maszerują do nor, gdzie czekają głodne pisklęta. Nawoływania ze wszystkich stron tworzą przedziwną muzykę. Niezwykła była wędrowka kładką wśród koron drzew-gigantów, rejs katamaranem po oceanie, łowienie krabów, dżdżownice o długości kilku metrów, wypad w Góry Błękitne, spacer po lasach drzewiastych paproci, przejazd Great Ocean Road, zwiedzanie grot, kopalni złota i miasteczka-skansenu po czasach gorączki złota. Widzieliśmy też standardowe atrakcje, takie jak papugi, kangury, strusie, wieże widokowe, latarnie morskie, operę, ogrody botaniczne, oceanarium z rekinami pływającymi nad głową, ogród zoologiczny, gdzie tylko groźne zwierzęta, np. diabeł tasmański, są zamknięte w klatkach. Pod koniec pobytu byłam już tak zmęczona rozrywkami, że bez wstrętu myślałam o powrocie do naszych normalnych zajęć, takich jak demonstracja pod rosyjską ambasadą. Zdążyliśmy, mimo że samolot z Dubaju spóźnił się i musieliśmy nocować we Frankfurcie. Spadliśmy twardo na ziemię. Teraz Andrzej poszedł na demonstrację, ponieważ stołeczna straż miejska pobiła Michała Stróżyka, a ja piszę tekst dla „Nowego Obywatela”.

Nasz wyjazd do Australii spowodował nadzwyczajne ożywienie u naszych przeciwników. Dowiedzieliśmy się, że Andrzej w Australii agitował za głosowaniem na SLD, że Związek Polskich Więźniów Politycznych nie istnieje, że безпеaka sfinansowała

nam wakacje – „Można ich zrozumieć, bo lubią podróżować, a nie mają pieniędzy”. Otóż dzięki specjalnym dodatkom do emerytur, które przyznał nam premier Kaczyński, pieniędzy mamy jak lodu.

Nie wiem, czy bezpieka na stare lata oszalała, czy ukrywa w Australii jakichś Eichmannów systemu komunistycznego. Będziemy musieli to sprawdzić.

Autor: Joanna Duda-Gwiazda

Zdjęcie: [Erik K. Veland](#)

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

NOTA BIOGRAFICZNA

Joanna Duda-Gwiazda – inżynier okrętowiec, działaczka Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża (1978) i pierwszej „Solidarności” (członek prezydium MKS-MKZ, Zarządu Regionu), w stanie wojennym internowana, niezależna dziennikarka i publicystka („Robotnik Wybrzeża”, „Skorpion”, „Poza Układem”). Od początku do dziś konsekwentnie w opozycji do metod i polityki firmowanej przez Lecha Wałęsę i jego następców. Żona Andrzeja Gwiazdy. Stała współpracowniczka „Obywatela”.